

Kronika tygodniowa.

Każdy ma swego mola, który go gryzie (mole te rozmaicie nazywają...) I ja mam go także, a jest nim... pan metrapaź, zostający ze mną stale na wojennej stopie. Nie mogę mu nigdy dogodzić!... Raz skrypt niewyraźnie pisany, to znów zbyt krótki, czasem za długi. Ale na wszystko jest rada!... Jeśli piszę nieczytelnie, co jest cechą charakterystyczną wszystkich wielkich ludzi, do rządu których i ja widocznie należę, trzeba mi sprawić maszynę do pisania, ale za razem i sekretarkę, gdyż ja nie jestem biegły na tym instrumencie. Wszystko byłoby zatem w porządku, ale znowu na samym wstępie wyionliły się dwie trudności nie do przezwyciężenia. Najpierw nie było takiego, kto miałby ochotę kupić ową maszynę i darować mi ją w prezencie, a chyba trudno pisać na niej, jeśli się jej nie ma.

Pozatem, o ile rozchodziło się o ową sekretarkę, oświadczyła Weronika, że na to nigdy nie pozwoli, aby inna kobieta miała się wdrzeć w jej prawa. Na wypadek gdybym zaś ośmielił się zlekceważyć sobie jej stanowczą wolę, zagroziła mi absolutną opozycją, wobec której jest niczem ta, którą za owiedział towarzyszy Ignacy w Sejmie warszawskim. Nawet głos ma wtedy donośniejszy, niż towarzyszy Pizak, obecnie „najgłośniejszy” z naszych posłów.

Natomiast, o ile rozchodziło się o ową sekretarkę, oświadczyła Weronika, że na to nigdy nie pozwoli, aby inna kobieta miała się wdrzeć w jej prawa. Na wypadek gdybym zaś ośmielił się zlekceważyć sobie jej stanowczą wolę, zagroziła mi absolutną opozycją, wobec której jest niczem ta, którą za owiedział towarzyszy Ignacy w Sejmie warszawskim. Nawet głos ma wtedy donośniejszy, niż towarzyszy Pizak, obecnie „najgłośniejszy” z naszych posłów.

Coś podobnego stało się i z poprzednią kroniką. Pokazało się, że ją trzeba skrócić i tak też było. Ale kronikarz nie wiedząc o tem, że ją taki los spotka, zapowiedział, że porządku „domową” politykę. Tymczasem zaś zbieg okoliczności na to nie pozwolił.

Dziś wypada więc zle naprawić i nową kronikę nawiązać do owego rzemieennego dysza, na którym w tamtym tygodniu skończyliśmy, zwłaszcza, że poruszoną tam sprawą staje się dziś właśnie aktualną.

Podróżowanie rzemieennym dyszem byłoby dziś połączone z pewnymi trudnościami, gdyż o ile po naszym kraju możnaby swobodnie jeździć (i to, kto wie...), o tyle za granicą nie wypuszczają, tak że wszystkich stron otoczeni jesteśmy „przyjaciółmi”. Nie dziwiłbym się bynajmniej, gdyby wojska generała Hallera, aby się znaleźć u nas badajby już... w maju, obrały sobie, tak, jak to swojego czasu zapowiedziałem, drogę powiatową, gdyż na razie tylko ona jest wolna. Miałby pierwotnie przypłynąć do Gdańska i tam lądować, ale na to nie pozwalają Niemcy. Potem wyionlił się projekt, aby się skierowały drogą lądową na Włochy, Jugo-Sławię, Austrię i Czechy, ale nikt znów nie wie, czy na to zgodzi się rząd czeski.

O ile mnie się zdaje, to one przyjadą do nas w samej rzeczy w... maju, ale tym wszystkim niespodziankom, zamiarom itd. niema się co dziwić, bo to przecież mamy teraz okres *prima-aprilisowy*, a w polityce, jak rok długi, jest stale „pierwszego kwietnia”.

Ala dajmy temu spokój, gdyż na ową „domową” politykę może łatwo braknąć miejsca, a powinno się wspomnieć, bodaj kilku słowami, o nowej zmianie formy rządów w dawnym zaborze austriackim, gdzie miejsce dawnej Komisji likwidacyjnej (P. K. L.), zajęła Komisja Rządząca, a obecnie ujął ster spraw galicyjskich jenerały delegat, wraz z radą przyboczną, złożoną z samych „fachowców”. Narzekano, że w gabinecie Moraczewskiego byli ministrowie analfabeci, tego o tym nowym zespole powiedzieć nie można, gdyż w gronie owych delegatów widzimy nawet i klasycznych filologów. Jedno z pism humorystycznych donosi, że łacinnikowi oddano referat rolnictwa, ale ja w tem nie widzę nic tak śmiesznego, a tembardziej dziwnego, jeśli się zważy, że Wirgiliusz napisał „Georgiki” i „Bukoliki”, ergo klasyczny filolog nie tylko może, ale nawet i musi się znać na tem, co dotyczy spraw agrarnych, chowu bydła itd.

Zyczyć należałoby sobie natomiast, aby ten nowy rząd, nazwijmy go „galicyjski”, zerwał już raz ze starym austriackim szlenderianem, aby już raz poszły spać rozmaite centrale, inspektoraty i tym podobne wojenne dziwolągi-nowotwory, a wówczas niożą się jakoś znośniej stosunki, które, zamiast się poprawiać, z każdym dniem stają się gorsze i opłakawsze. Ze cukru brak, to ostatecznie można jeszcze jakoś przeboleć, gorzej, że brak chleba i maki, a ubiegły tydzień był „behmieśny” (wskazane, że względu na wielki post!... przyp. zecera). A komu to mamy zawdzięczyć?... Nikomu innemu, tylko naszym sferom rządzącym, które myślą o wszystkim, tylko nie o tem, co do nich należy. Chcąc wywieźć kilogram artykułów codziennego użytku trzeba stracić dwa tygodnie na wy-

robiecie pozwolenia, a tymczasem i dziś jeszcze bez niego całe wagony wyjeżdżają najspokojniej za granicę. Stary, austriacki system nie zmienił się ani na jotę! Ci, którzy robili dawniej dobre interesy, robią je dalej, z tą tylko różnicą, że mniej się posługują językiem niemieckim, choć między sobą stale go używają.

Było źle, jest źle, a będzie jeszcze gorzej, jeśli się całe społeczeństwo rychło nie ocknie i nie zabierze wspólnymi siłami do wypłenicenia złego.

Cały ten ustęp musiał odpaść, dzięki orzeczeniu pana metrapaży, który w urzędowaniu jest bezwzględniejszym, niż pierwszy lepszy Prusak i gdy raz powie, że miejsca brak, na to nie pomoże nawet i apelacya choćby... na główny *verlag*, gdzie mogłoby ją bardzo rychło załatwić, nie mając co innego do roboty, dla ułatwienia bowiem manipulacyi zapasy tytoniowe sprzedawano we f bryce wprost paskarzom. Zarząd fabryki o to winić nie można, gdyż nam nie tak dawno ogłosili publicznie w dziennikach, że o kradzieżach wie, ale na to nie poradzić nie może.

Ala, dla czego, to już jej tajemnica!

Wracajmy jednak do pana metrapaży. W ubiegłym tygodniu odesłał mi dwie kartki skryptu, ale nawet nie przypuścił, że odłożenie tego tematu do następnej kroniki będzie właśnie na czasie.

Niechaj mu Pan Bóg przebaczy, że mnie tak przesładuje. Być może poprawi się po wielkanocnej spowiedzi, do której się w tych dniach wybiera i obiecał się nawet wykazać kartką... (z przed lat dwudziestu, gdy zamierzał wstąpić w związki małżeńskie...).

I proszę mi powiedzieć, czy nie miałem racji, nawołując nowy rząd galicyjski, aby już raz zerwał z dawnym austriackim szlenderianem, który każdemu tak dokuczył. A że on tam dotąd pokutuje, o tem niema dwn zdań. Nasze magistratury polityczne, zwłaszcza zaś Komisya Rządząca, mają to do siebie, że żywią, nie, albo niewiele tylko do roboty dając, setki różnych darmozjadów, bez których nawet w wojennym czasie obeszłoby się zupełnie dobrze. Z samych „maszynistek” i „manipulantek” możnaby uformować ze dwa pułki Amazonek i wysłać je pod Lwów, utworzyć pokątny zastęp pielęgniarzek trochę wysłać „na świeże powietrze”, a i ta reszta, jaka zostanie, wystarczy na przepisanie w swoim czasie referatów, wygotowanych w odnośnych biurach. Wobec tych warunków niema się też czemu i dziwić, że, jak się obecnie pokazuje, administracya samej tylko Galicyi zachodniej pochłania półrocznie tyle, co ongiś całej Austrii przez cały rok.

Jenerały delegat rozpoczął też swą działalność od zmniejszenia personalu i w tym celu wypowiedział służbę kilkuset kontraktowym urzędnikom, co znów spotkało się z ogromnym lamentem *Kürgerka*, ronącego przy nad „krzywdą polskich urzędników”.

I mnie ich żal, że w tych ciężkich czasach tracą porządną kawał chleba i to z masłem, ale cóż na to poradzić? Gdzie cienko, tam się rwie a u nas jest chyba tak cienitko że już cieniej być nie może, wobec czego wskazaniem jest jak najrychlejsze zaprowadzenie najdalej idących oszczędności. Różni młodzieńcy panowie dyrektorowie mogą i na innem polu równie skutecznie pracować dla kraju, choć może mniej dla siebie samych. Nie tyle może biurko urzędnicze, ile pensya, jaką się regularnie pobiera na pierwszego (i ta reszta!...) mają jakiś dziwny arok, że nawet stary, trzęsący się emeryt zgłasza jeszcze swe siłnby dla kraju i współobywateli i oświadcza gotowość objęcia nawet kilku równocześnie stanowisk, byle tylko... były dobrze płatne.

I tutaj naturalnie protekcyja gra główną rolę. Prawdziwie potrzebujący i potrzebująca z pewnością zajęcia nie znajdą, a przynajmniej nie tak łatwo.

Wielką część winy przyjąć musi naturalnie na siebie i sam rząd, jak on się wówczas nazywał, to mniejsza, angażując tyle sił i powiększając je z dniem każdym. Ale bo my i urzędów mamy już tyle, że się nawet nie wie, dokąd się zwrócić w jakiej sprawie. Gdy się dowiesz, która władza to załatwia, trzeba dalej badać, jaki jej departament, w której dzelnicy miasta, jak się nazywa referent i kiedy go można zastać „przypadkowo” w godzinach urzędowych w biurze.

Jedną tylko instytucyja pedoba mi się, a jest nią nowo kreowany Okręgowy Urząd opieki zdrowia, mający za zadanie wypowiedzenie wojny na śmierć i życie wszelkim chorobom, zarazkom i t. d., nawet neutralnym. Jeśli weźmie się ostro do pracy, bardzo łatwo stać się może, że w najbliższym już czasie lekarze, aptekarze i karawaniarze będą musieli ogłosić ogólne bezrobocie i oglądać się za jakimś popłatniejszym zajęciem, gdyż ludzie będą umierali jedynie na wiad starczy lub „na pola chwały”, od czasu tylko do czasu z głodu i to jedynie mniej wytrzymali.

Rozpocznie się wówczas nowy złoty wiek dla ludzkości, podobny do owego, jaki opisuje Owidyusz

w awych „Przemianach” (ale nie materyi!...) i dlatego radzę każdemu z serca, niechaj czeka cierpliwie, aż ujawnią się błogie skutki działalności nowego urzędu.

Miarą wydajnej czynności naszych urzędów mogą być, jeśli kto woli, albo ogonki interesantów przed drzwiami różnych mniejszych i większych dygnitarzy wyczekujące cierpliwie na swą kolej, albo też coraz większy dobrobyt, o jakim się nie śniło nawet i Paryżanom w czasie słynnego obłożenia w latach siedmiedziestych. Ta tylko różnica, że wówczas wiedziało się, iż się je mięso konia, psa lub szczura, dziś się zaś jest przekonany, że się spożywa wyborną wieprzowinę, należyte naturalnie przesoloną, ale tylko ze względu na cenę, bo nawet i soli już brakło, tak racjonalnie gospodarujemy (a może ją Niemcy wywieźli z Wieliczki?... przyp. zecera).

Obecnie obywamy się stale bez węgla, świec i nafty, z czem się przecież można jakoś pogodzić, gdyż i ciepłej się robi i dnie stają się coraz dłuższe. Z powodu braku tamtych artykułów można się też obejść bardzo wygodnie i bez zapalek, które dawniej bywały używane także i do zapalania cygar i papierosów, co dzisiaj jednak należy już tylko do wspomnień historycznych. Następnie, choć właściwy przedmówek jeszcze się nie zaczął, czytujemy celem zaspokojenia apetytu regularnie powtarzające się komunikaty działu apro wizacyjnego, że, ponieważ mąka nie nadeszła, nie może też być rozdzielona, należy zatem wstrzymać się z bólami, choć ich nabawić to się można dopiero po zjedzeniu chleba, wypieczonego z niej w rzetelnych naszych piekarniach.

Ze brak masła, mleka, jaj, sera i t. d., to także nie nowina, gdyż podobne niespodzianki robią nam krowy i knury stale przed każdymi świętami, chcąc nam dać w ten sposób do poznania, jak się je powinno szanować. Kura, to dziś list zastawny, a jajko kupon, na którego „zniesienie” czeka codziennie cała rodzina (naturalnie, kto ją ma... ale mam na myśli knurę, nie rodzinę!) A jaką minę robi kura po dopełnieniu tego urzędowego aktu!... Z jaką dumą patrzy na swego chlebobawcę, który jej chleba nie daje, bo go sam nie ma, zdaje się, że ma ochotę powiedzieć:

— Patrz!... Czy pojmujesz, ile masz mi do zawdzięczenia?... A cóż ja mam od ciebie? Jeśli mi do gadzisz, bym wytnęła, to tylko dlatego, by później zbrodniczą ręką targnąć się na mnie, zjeść i dogodzić swemu podniebieniu!

I dlatego to zapewne owe knurki, które stale spacerują sobie po ulicy Stolarskiej, przyczyniając się w ten sposób do dodania miastu nroku, tak teraz zhardtziły, że poprostu nie astępną się z chodnika nawet radcom miasta. Ja im schodzę z szacunkiem z drogi, a właścicielowi ich zazdroszczę, bo takie trzy okazy, a tyle ich tam naliczyłem, to dziś majątek. Mając je można nawet córkę wydać za mąż. Jedna musi oddać szyję pod nóż, by było czem przyjąć go-dnie gości weselnych, druga stanowi posag panny młodej, trzecia ma pocieszyć osieroconych rodziców w ich samotności. Panna na wydaniu, mająca dziś knurę i do tego nośną, może być pewną, że choćby była stara, brzydka, nieznosna (ona, nie kura!... Stara kura jaj nie niesie!), znajdzie całą moc kandydatów, oświadczyjących gotowość poprowadzenia do ołtarza...

Poza brakiem nabiału odczuwamy coraz bardziej brak mięsa. Choć właściwie źle się wyrażam, gdyż my go już nie odczuwamy, admo nam się bowiem dzięki owym c. k. postom odzwyczaić się powoli od mięsożerstwa, przemieniając się powoli w niewinnych baranków, skubących sobie trawę, a w jej braku trociny... Kto winien, że mięsa brak, dotąd nie stwierdzono urzędowo, rzeźnicy apędzają winę na rolników, rolnicy na rzeźników (kociół garnkowi przygania!...), wszyscy razem narzekają na zarządzanie władz, nie pozwalających rzekomo (ale tylko „rzekomo!”) obdzierać bliźnich ze skóry i w tem atropieniu, jedni bydlę a drudzy mięso wysyłają stale za granicę.

Ze mięsa, zwłaszcza zaś wieprzowego, brak temu się nie dziwić, gdyż jest to zwykły objaw przedświąt-eczny. Zapasy giną nagle z widowni, aby się nagle pojawić ale dopiero wtedy, gdy magistrat ulituje się nad niedolą masarzy i podniesie ceny bodaj o sto procent.

Z Ameryki przyjechała jakaś tam słonina i smalec, ale łatwiej zaopatrzyć się w te artykuły w handlu paskarskim, niż legalną drogą. Amerykanie umieją ocenić wartość czasu, wiedzieli o tem zapewne i smalec i dlatego nie czekał, aż przejdzie długą drogę manipulacyi urzędowej.

Na temat tej domowej polityki, mającej taką ścisłą łączność z naszym żołądkiem, możnaby pisać i wiele i często, a jest się wtedy tak prawdziwie wielkopostnie nposobionym, jak gdyby się przeczytało najżałośniejsze psalmy pokutne lub rozmyślania. Niestety, choć się post wielki już keńcz, wojna jakoś skończyć się nie chce, wobec czego nierzaz jeszcze przyjdzie wrócić do tego tematu, który jest poprosiną niewyczerpany.